

Czasowstrzymywacz cz.4

15

Parasol trafił Ivy Mana w głowę.

- Ha! Headshot! Rządź! - krzyknęła osiemdziesięcioletnia babcia i zaczęła tańczyć makarenę.

Sędziowie w moich oczach pokazali jej dwie dziesiątki.

Liany puściły dziewczynę, która upadła na podłogę i zaczęła łapczywie chwytać powietrze.

Nie czekając, wyrwałem siekierę ze ściany i ruszyłem w kierunku miotającego się Bluszczyka.

16

Opuściłem siekierę na pierwszą lianę. Bluszczyk ryknął z bólu i zmierzył mnie spojrzeniem pełnym nienawiści, które przekuł w kolejny atak. Złapałem nadlatującą lianę, szarpnąłem i odrąbałem siekierą. Ivy Man upadł na kolana zaciskając mocno pięści, wytrzeszczając oczy i nie mogąc wydobyć z siebie choćby głosu.

- You... - wycodził. Nie czekałem na miłe słowa. Podbiegłem i uderzyłem pięścią. Rozpłaszczył się na posadzce jeszcze bardziej wkurzony. Czasem tak bywa, myślisz że już po wszystkim, że wygrałeś, zabiłeś natrętą biedronkę. A biedronka wraca - więcej: wraca i skopuje ci dupę, że aż się smutno robi. Całkiem często stawiałem się taką biedronką.

- Biedron wrócił, dupku!

Zająłem się kolejnymi lianami, kiedy Ivy Man próbował wstać. Trzeba sobie powiedzieć szczerze, że Bluszczyk był słaby. Powiecie "Kiwi! Pogięło cie?! Człowieku, ledwo stoisz na nogach. Koleś zmasakrował cię nie ruszając się z miejsca, a ty mówisz, że jest słaby?! No bez takich!". A ja powtórzę: Bluszczyk był słaby. Jego siłę stanowiła niedostępność. Walka na dystans, za pomocą tajemniczych zdolności, mgły i lian. Bez całej swojej fantastycznej otoczki stawał się zwykłym, chudym i słabym chłopakiem. Takiego Ivy Mana miałem szansę pokonać.

17

Ostatnia odrąbana liana spoczęła u mych stóp sikając zieloną posoką. Odetchnąłem głęboko, otarłem czoło z krwi i potu. Odrzuciłem niepotrzebną już siekierę, która upadła z głuchym łoskotem. Chwyciłem Bluszczyka za kołnierz i postawiłem na nogi. Zmienił się. Wyglądał jak na początku naszego spotkania, był tylko trochę bardziej sponiewierany. Jego noga, w miejscu, gdzie łączyła się z dziwną naroślą, krwawiła. Prawdę mówiąc wyglądała, jakby ktoś ją porąbał siekierą. I tym kimś zapewne byłem ja. Chłopak tracił dużo krwi, potrzebował szybko pomocy. Jednak nadal nie miał zamiaru współpracować. Nagłym ruchem wyrwał się z mojego chwytu i skoczył ku leżącej na ziemi broni. Podniósł karabin, jednocześnie wyrывая z pazuchy pistolet. Zatrzymałem się gwałtownie, gdy zwrócił w moją stronę obie lufy.

Byłem pewny, że zaraz mnie podziurawi. On jednak opuścił ręce wzdłuż boków i, obracając się wokół własnej osi, zaczął strzelać. Kiedy skończyły się naboje uniósł dymiące pistolety.

- Na razie - powiedział do mnie i tupnął. Podłoga zapadła się pod jego ciężarem, tworząc idealnie okrągłą dziurę.

Zanurkowałem za nim, znikając w ciemności.

Upadłem na kolano i podparłem się ręką, by nie zanurzyć się całkowicie w cuchnącej wodzie. Zamarłem w bezruchu, nasłuchując. Byłem w kanałach pod bankiem. Bluszczuk już wcześniej musiał planować taki sposób ucieczki, bo nie sądzę, że przez kilkumetrową bankową posadzkę zdołałby się przebić paroma kulami. Musiał wcześniej planować napad i rozważać wszystkie możliwości. Nie rozważył tylko mnie. Nasłuchiwanie nic nie dało. Gdzieś w oddali kapąła woda. Zanurzony po kolana (na polu musiała być na prawdę wielka ulewa, by kanały tak wezbrały) ruszyłem przed siebie. Ani przed sobą, ani za sobą nikogo nie znalazłem.

Bluszczuk zniknął.

Wróciłem na górę i złożyłem zeznania policji, która właśnie przyjechała. Oczywiście dwadzieścia minut za późno - zupełnie jak w filmach. Nie wspomniałem o lianach, mgie ani babci rzucającej parasolem. Wzięli by mnie za wariata. Miałem też nadzieję, że nikt ze świadków się nie wygada.

Lekarze uparli się by zabrać mnie do szpitala, więc zwałem. Dniwecnir zajmie się wszystkim, lekarze nie powinni tracić na mnie czasu, podczas gdy kto inny może bardziej potrzebować ich pomocy.

Chyłkiem przemknąłem się do tylnego zaułka. Postawiłem kołnierz kurtki i szybkim krokiem ruszyłem przed siebie, od czasu do czasu spoglądając przez ramię. Właśnie podczas takiego "spoglądnięcia" wpadłem na dziewczynę.

- Aaaa! - krzyknęła.

- Przepraszam!

Spojrzałem na nią i od razu poznałem. Była to ta sama kobieta, którą dusił w banku Ivy Man.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja odpowiedziałem tym samym.

- Idziesz w tę stronę? - zapytałem wskazując kierunek, w którym podążałem.

Przytaknęła. Chyba też wyrwała się lekarzom. Odprowadziłem ją kawałek. Wiezorami na Hucie bywa niebezpiecznie.

- Tu skręcam - powiedziała.

- Ja idę prosto - odpowiedziałem.

- Dziękuję za odprowadzenie. I za wszystko.

Ruszyła przed siebie. Zaraz doskoczyło do niej dwóch rośliwych typów w garniturach i jeden z nich rozłożył nad nią parasol. Zobaczyłem jeszcze jak wąsaty mężczyzna w czapce szofera otwiera jej tylne drzwi czarnej limuzyny. Fiu fiu.

Wtedy właśnie dotarło do mnie, że zostawiłem swoje buty w banku i wybuchnąłem śmiechem.

W mieszkaniu czekali na mnie przyjaciele.

Grzybiarz patrzył w przestrzeń i huśtał się na krześle z nieobecnym wyrazem twarzy. Dniwecnir pół leżał na stole, opierając się na łokciu i ścisnął głowę rękoma. Wyglądali strasznie, przynajmniej równie źle co ja.

- Co się stało? - spytałem oczekując najgorszego.

Mag westchnął. Ścisnął kąciki zaczerwienionych oczu palcami.

- Ktoś ukradł Pomocną Dłoń - wychrypiał.

Ciąg dalszy nastąpi.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

AnonimowyGrzybiarz, dodano 22.09.2009 09:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.